

Pismo to wychodzi
trzy razy w tygodniu
tò jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek, o drugieji
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Koeha
i Schreibera.

PONIEDZIAŁEK 13 SIÉRPNIA

N^{BR} 50.

1838 ROKU.

NIEBOSZCZYK HOFFMAN.

Z DZIEŁ J. KRASZEWSKIEGO.

Nieboszczyk Hoffman za rządu pruskiego był konsyliarzem w Warszawie, — ale wówczas nikt się nie starał o jego znajomość — nikt go nie znał — jego, który w lat kilkanaście miał poruszyć wszystkich belletrystów, romanso-pisarzy, poetów prawie całej Europy, jedném skinieniem swego fantastycznego pióra. Talent jego kwaśniał s początku na suchych urzędowych pismach, na czynnościach prozaicznych, które umysł mniej czynny, mniej gorącą wyobraźnię, mogły przudusić i ostudzić. Ale on! — on biédne swoje ubogie życie całe walecząc z najprozaiczniejszymi potrzebami jego, w duszy jak się urodził tak został poetą.

Dziś i u nas przez tłumaczenia znają już powieści Hoffmana (*Szczęście w karty* w *Dzien. Wi-leńs.*, *Dwór Króla Artura* tamże, *O Hoffmianie i wyjątki* tamże; wszy-

stko tłumaczone s tłumaczenia P. Loeve-Veimars przez Rogalskie-go); ale mało kto umie je cenić, mało kto z nich poznał duch pisarza, bo tłumacz wybrał z jego pism najmniej oryginalne, najmniej pod względem wynalezienia i imaginacji odznaczające się.

Zeby poznać Hoffmana trzeba go przeczytać całego, przeczytać raz i drugi, i wpoić się w jego najtajniejsze myśli, trzeba się zniemczyć czytając, aby w nim zasmakować.

Jan Paweł Rychter jest także bardzo narodowym pisarzem niemieckim, ale daleko mniej popularnym od Hoffmana, trudniejszym do zrozumienia dla stylu i form nasrożonych różnego rodzaju przenośniami i erudycją. Jan Paweł znajomy jest Europie ledwie s kilku tłumaczeń; Francuzi mają tylko tłumaczenie jednego romansu dawne, wyjątki z jego dzieł Pani Stael i nowo (1854) tłumaczonego *Titana*. U nas jest *Knotr Macieji* jedno z naj-

śmielszych pism pod względem obyczajowym i religijnym, wyjątek z *Siebenkaese* tłómaczony w Tygodniku Petersburskim, i *Śmierć Aniola*, powieść allegoryczna. Więcej nie znamy Rychtera, a i ci co są dobrze zjęzykiem niemieckim oswojeni, bardzo trudno niektóre jego wykrzykniki i długie frazesy wyrozumiéć mogą. On więc będzie długo nieznamy i na słowo tylko Niemców ceniony w Europie — ale Hoffman! — tak dziwny, tak poetyczny, tak jest przytém prosty w układzie i stylu, że już go wszędzie przetłómaczono.

Mają go nawet w Anglii, w Anglii tak dumnej swoją literaturą, tam przemysł księgarski wwał go do wielkiej masy ksiąg angielskich, łapczywie rozchwytywanych i zapomnianych tak prędko!

My, jakem mówił, znamy tylko okruszyny Hoffmana, dwie czy trzy powiastki, (bo zapomniałem *Pannę Scuderi*), ale nie znamy *Księżniczki Brambilli*, nie znamy *Marino Falieri*, ani sławnych *Rozmyślań kota Murra*, ani żadnej z *Powieści nocnych*, ani *Salvatora Rozy*, ani wielu i wielu innych — a jednak nie można powiedzieć żeby nam zbywało na fabrykan-

tach tłómaczeń, którzyby nie tylko po niemiecku, ale po turcku nauczyli się dla tych nie-szczęśliwych pieniędzy.

Tymczasem jednak nie umiejają zwykle nasi tłómacze innego prócz francuzkiego języka, a wcale się nie wabają przetłómaczywszy s francuzkiego klasę na czele, że przeleli zoryginału, chociaż możnaby im piérwszą kartą dowiéść, że nie umiejają języka, sktórego niby to tłómaczyli. U nas takie są prawie wszystkie tłómaczenia, czy to klasyków dawnych czy nowych pism jakich, — wyjąć jednak należy stój liczby Błotnickiego, Sieńkiewicza i kilku innych sumienniějších a mniej interesowanych.

Daj Boże, żeby i nieboszczyk Hoffman na jednego s takich trafił, któryby go tłómaczył wprawnie, nie gwałcąc języka i rozumiejąc go dobrze woryginalé — mogłoby wówczas wszyscy poznać rozmaitość talentu Hoffmana, żywość jego kolorytu, dziwaczność jego myśli, i przytém wszystkiém co składa poetę, dosć ducha obserwacji, dosć trafne malowanie charakterów pospolitych, a nadewszystko nieocenioną mieszanię fantazii i

prawdy, której dotąd w tym samym stopniu nikt naśladować nie umiał. Inne powieści fantastyczne są zawsze albo za mało, albo nadto wyłącznie fantastyczne, u niego w samą miarę.

W każdej z nich prawie można oddzielić część rzeczywistą, od tej, która jest tylko w pewnym sposobie rzeczywistością inaczej widzianą i opisaną. W Księżniczce Brambilla, w bajce o salamandrach (1) każdy to widzi, każdy pozna, że Hoffman chciał tylko w pół-oszalałych dziwką wyobraźnią ludzi malować, i mięszal ich marzenia, ich myśli, ich nadzieje, s t e m co się rzeczywiście działo.

Toż samo i winnych powieściach spostrzegać się daje. Zastanowiwszy się nad niemi i nad myślami, które się roją w głowach tylu młodych ludzi, marzących o tajemniczym świecie, zarzuty przesady Walter-Scotta wydają się bardzo a bardzo za surowe.

Niech każdy zda sobie sprawę ze swoich dumań wieczornych i snów nocnych, wieleżby to z nich powieści było, gdy je umiał napisać! Ale łatwiej da-

leko, napisać mierną, regularną, bladą, nie nie dziwną i ani trochę smaczną powiastkę, niż co fantastycznego; bo trzymając się krok w krok dawnych reguł i oklepanych wypadków romansowych, książka napelni się jakąś tam siekanką patetyczności i intrygi, i pójdzie w świat tak dobrze i tak cicho jakby co najlepszego — ale w fantazii! aha! trzeba być oryginalnym i mieć smak przytém, trzeba mieć talent, trzeba pisać z zapalem, z natchnienia! — To się nie każdemu udaje, a z małej liczby próbujących, u nas nikt, ale to nikt, nie tylko fantastycznie jak nieboszczyk Hoffman, ale w jakimkolwiek innym rodzaju oryginalnie nie nie napisał. — A tyle mamy książek!!

Proszę przewrócić cały katalog Bętkowskiego i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świeże katalogi — i proszę stego mnóstwa książek wszelkiego rodzaju, choćby jedną pokazać, któraby miała wartość rzeczywistą, to jest europejską, któraby w jakiejkolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i imaginacyi nadała ruch myślom i wpływała na epokę? Prócz oryginalnego jenijusza Koperni-

(1) Garnek złoty.

ka — któż więcéj stanie? — Może jeden (2) — może żaden.

Nie płakalibyśmy długo, gdyby od pożaru Aleksandryjskiej biblioteki i nasze się zajęły — straciłibyśmy wiele rzeczy mających wartość pamiątek — a mało ważnych prawdziwie. Nie zaprzeczam ja wielkiego talentu wielu pisarzom, ale prawie wszystkim braknie oczywiście na smaku, na oryginalności, na śmiałości i zapale — a dzisiejszym na czytaniu jeszcze.

Snyćcérz, malarz, stara się oglądać obrazy, posągi wszystkich mistrzów, każdej szkoły; pisarz zaś nie miałby szukać natchnienia i smaku w jak największej liczbie wzorów? Nie żeby je naśladować! Broń Boże! naśladowanie nas zabija! Villemain powiedział nawet, że nie trzeba naśladować nikogo, ale dla obznajomienia się z mechanizmem, dla nabrania siły, której naszym pisarzom (jakkolwiek ich jest mało), wszystkim braknie.

Nieboszczyk Hoffman miał tyle wrodzonego zapalu i tak mozną imaginać, że jéj od nikogo

pożyczać nie potrzebował — smak niemiecki dopomógł mu wprawdzie, ale i sam przez się wiele zrobił, bo fantastyczność ledwie znajomą, ledwie dotkniętą, wykształcił i daleko dalej niż przedtém chodziła rozciągnął i wyłącznie jéj używał.

Teraz naśladują go! — ale czémże są naśladowania, czém są naśladowcy? gdyby nie mieli Hoffmana pastwiliby się nad kim innym — wszak naśladowali Walter-Scotta, wszak naśladują wszystko, co tylko ma za sobą pochwały mody i smaku — biedni naśladowcy, pasožyci jak jemioła, goszczą się na najmocniejszych i najwyższych drzewach.

Spójrzmy na wszystkie szkoły pisania — powstaje wielki jeniusz — rodzi myśli, formy, smak — wszystko! za nim do otwartego źródła cisną się drobne karzelki, aż póki źródła nie wypiją do dna, do mętów. A potém nowy Mojżesz czarodziejską różeczką wyprowadza ze skały czyste wody — i ci co wskale tylko skałę widzieli, piją, piją, robią s tego źródła studnię, robią jeziorko, robią rzeczółkę — na niej stawiają swoje młyny i tartaki — aż póki s czystego źródła nie zrobią kałuży.

(2) Kiedy mówię jeden, niechże sobie jaki waryat nie wyobraża, że należę do wielkiej egotystów szkoły! Ja pamiętam co Pascal napisał.

I tak w każdej szkole przeżyje tylko pierwszy jej prawodawca; ten zostanie na długo, a naśladowcy jak przyszedli tak znikną.

Czyż Wilibald Alexis pójdzie na równi z Walter-Scottem — czy Pan Janin dożyje śmierci Pana Hugo? — czy pan Hugo zagasi Shakspeara? Zobaczymy — zobaczymy!

I Hoffmann może się spodziewać, że będzie jednym stych nieśmiertelnych o których jeszcze lat ze sto będą pisać i mówić — lecz ci co pisali Fantazye, fantastyeczność, fantasmagorye — czy będą jak on szczęśliwy? Wątpię.

Zobaczymy — zobaczycie!



GALEOTA

SZEŚĆ SIÓSTR.

PRAWDZIWE ZDARZENIE OPOWIADANE
PRZEZ P. D'ARLINCOURT.

Nadeszła noc mileżąca, niebo było pogodne, morze spokojne; galeota *Sześć sióstr*, płynąc z Sechelles (Indyj wschodnich) stęrowała ku Isle de France spójnie. Dwadzieścia i ośm osób znajdowało się na tym statku. Wszystko zapowiadało pomyślną żeglugę: czyste i spokojne było powietrze i melodyjnie łączył się śpiew majtków z łago-

dymnym szumem fal. Swobodnie siedział kapitan Hadoul przy paui Malfit, należącej do podróżnych, rosprowadzając jej o swojej ojczyźnie, okwitując w dziwy.

Nagle dał się słyszeć o kilka kroków od obojga krzyk przeraźliwy. Jasny płomień buchnął do góry. Niewiadomym sposobem wszczął się ogień i wkrótkim czasie pożar szczyć się zaczął. Użyto wszelkich sposobów, by utłumić ten straszny żywioł; nadaremne usiłowanie! Zerwał się wiatr gwałtowny, czarne chmury zasłoniły widok, a wkrótce kłęby dymu i płomieni ogarnęły całą galeotę. Statek pograżył się i zatonął w głąb morza.

Działo się to w miesiącu kwietniu roku 1819, w owych burzliwych dniach wiosennych. Mała łódka, którą ocalono wśród tego powszechnego zburzenia, była jedynym środkiem ratunku dla nieszczęśliwych; wszyscy ludzie okrętu *Sześć sióstr* rzucili się do tej łódki w śmiertelnej trwodze. Nowa rozpacz! Łódka była za szczupłą, by w niej tak wiele ludzi zmieścić się mogło i tak przepelnioną, iż ani stérnik ani majtkowie stęrować nią nie mogli; byli więc narażeni na niebezpieczeństwo zatonięcia każdój

chwili za najniższym powstaniem burzy. Wszelki ratunek zdawał się być daremny, bo już zaczęły szumić fale, a pośród chmur huczyć pioruny. Kapitan naradzał się z swymi ludźmi względem środków, do jakich przynagła potrzeba. Dla powszechniej zbhawy wypadło poświęcić kilka ofiar; śmiercią kilku osób stowarzystwa należało umniejszyć ciężar łodzi. Potrzeba było dwóch, a może i więcej rzucić w morze! Na kogół miało paść to przeznaczenie? Pani Mallit miała przy sobie do usługi dwóch Murzynów, którzy z rozezulającą tkliwością mieli staranie o swęj pani, pielęgnującęj przy piersiach mamki swoje dziecię. Kapitan i majtkowie spojrzeli w równym czasie na biędnych Murzynów i tych obrali na ofiarę. Ale jakimże sposobem rzucić s pokładu tych wychowańców Senegalu, którzy silną i atletyczną budową ciała stawiać będą straszny opór mordercom? Na wszelki wypadek będą oni walezyć o swoje życie, a walka w tak ciasnym i skolatanyim statku, który się za najniższym poruszeniem wywrócić może, pograży wszystkich razem w przepaści. Burza srożyła się coraz gwałtowniej, nie

było i chwili do stracenia. Zrobiono nowy wybór; Hadoul zasłonił sobie twarz tocząc straszną walkę z swém sercem.

Postanowiono panią Mallit, jęj dziecię, i mamkę rzucić w morze. Jeden z Murzynów podsłyszal ten straszny wyrok, niezauważnie przybliżył się do swego ziomka towarzysza i przemówiwszy do niego s cicha słów kilka, obrócił się do pani Mallit i rzekł: »Mój towarzysz i ja zrobimy miejsce. Pani zostaniesz przy życiu i powrócisz do swojej kochanej ojczyzny.« Poczém obróciwszy się do kapitana, rzekł do niego głosem uroczystym: »Kapitanie, przysięgnij nam, że uratujesz naszą panią, a my natychmiast rzucimy się w morze!« — «Przysięgam na Wszelchmoenego!» odrzekł kapitan rozrzewniony. — «Nie pozwalam,» odezwała się pani Mallit, która dopiero w tęj chwili zrozumiała o co rzecz idzie; «nie przyjmuję tęj szlachetnej ofiary; Murzyni moi są młodzi i mocni ludzie, mogą być użyteczni dla świata. Lecz ja jestem ciężarem niepotrzebnym w tęp miejscu — jam powinna paść ofiarą! Jestem wdową, poświęcę się dla ocalenia drugich... Lecz pozwólcie mi

jednę prośbę; kapitanie, ocal moje dziecię i przyjmij je za swoje!»

To rzekłszy nieszczęśliwa matka, wzięła od piersi mamki dziecię i przy świetle błyskawicy oddała je kapitanowi. Podróżni, majtkowie i kapitan, wszyscy oświadczyli, iż mieć będą staranie o dziecięciu.

»Biedne niemowlę, pozwól niechaj cię uściskamy!» zawołali w szlachetnym uniesieniu Murzyni, tuląc czarne swe twarze do białego, uśmiechającego się oblicza dziecka. «Bądź zdrów mały paniczku, przyjdzie czas, iż się zobaczymy tam w górze!» To rzekłszy wskazali palcem w niebo i z szybkością rzucili się w spienione morze. — Wkrótce obu przepaść pochłonęła.

Po tym wypadku ciężar łodzi zmniejszył się dostatecznie; tkliwa ofiara dwóch szlachetnych Murzynów prześlagała zagniewane niebo. Ustał wiatr, uciszyła się burza — i reszta ludzi ocaloną została.



DRESSURA GOŁĘBI WINDYACH.

Na wschodzie kwitnie najbar dziej sztuka dressowania gołębi. Majętni Mahometanie mają za-

wsze człowieka od gołębi, który się wyłącznie ich ćwiczeniem zajmuje, a te ptaki tak są uważne i posłuszne, iż słuchają komendy jak żołnierze. Tak n. p. wylatuje najprzód ze 20 brunatnych gołębi wolno na powietrze; stado to uważa wlocie na każde skinienie lub głos swego komendanta, który ich obrotami dowolnie kieruje. Poczem wypuszczają białe gołębie, które pomiejszawszy się spierwszemi, pływają wesoło razem po powietrzu, i zdaje się, żeby ich teraz rozłączyć nie można. Lecz skoro ich mistrz dał znak znajomy, natychmiast rozstępują się te dwie grupy podług koloru. Nie dosyć na tém; wypuszczają jeszcze i trzecie stadko niebieskiego koloru, s którymi się znowu razem mięszają. Wszystkie teraz latają razem: wzbijają się pionowo w górę, albo spuszcza ją na dół. Na hasło swego komendanta rozłączają się na trzy jednobarwne grupy i wykonywają zadziwiające ewolucye. Jedne wlatują w górę, drugie na dół; jeden oddział rzuca się jak gdyby do hoju na drugi, napadnięty otwiera swoją kolumnę, a atakujący przelatuje przez sam środek. Po tych gonitwach każdy

ptak udaje się do swego gołębnika, czyli raczej klatki, gdzie obfity żer nagradza podjęte trudy.

OBCE KRAJE.

Tam za morzami daleko
 Pola winsze strojne kwiaty,
 Złotym piaskiem wody ciepłą.
 I zielenie drzew są szaty.
 Lecz mnie miléj w swojej stronie
 Niż w tamtym kraju zdaleka,
 Oddalony za nią gonie
 I serce do niéj ucieka.

Tam złotych pomarańcz gaje
 Tam kwitną wonne jaśminy
 I ze skał płyną ruczaje
 I różą słane doliny.

Lecz mnie miléj i t. d.
 Mówił wędrowiec przed laty
 O tamtém niebie i kraju,
 Mówił że tam lud bogaty
 I mieszkać lubo jak wraju.

Lecz mnie i t. d.
 Mówił o tamtych dziewicach
 I wzdychał smutny za niemi,
 Rumieniec płynął po licach,
 Bez niéj, sam był między swémi.

Lecz mnie i t. d.
 Aż mi żal było biédnego
 Który wzdychał za dziewczyną.
 Wróć, powiedziałem do niego,
 Już tamta twoja kraina.

Bo tam, gdzie serce ucieka,
 Za którą stroną lzy płyną,
 Tam jest ojczyzna człowieka
 Tamta jest jego kraina!



MYŚLI I UCINKI.

Znajduje się wiele ludzi, którzy dla tego tylko czytają, aby nie potrzebowali myśleć.

Nie powiadaj wszystkiego, co wiesz; ale wiedz zawsze, co mówisz.

Serce i rozum w walce podobne są do niezgodnego małżeństwa.

Kto chce doznawać rozkoszy przez namiętności, czyni podobnie, jak gdyby się chciał ogrzać szkłem palącym.

Nie sądz ludzi podług tego, co mówią, ale podług tego, co czynią. Zwracaj uwagę na małe rysy, nie na główne czyny, do których każdy w swym paradnym stroju występuje.

Człowiek charakteryzując innych, sam się najlepiej charakteryzuje.

W życiu ludzkim są właśnie lata krótkie, wieki ludzkie jeszcze krótsze, a życie najkrótsze; lecz dni są długie, godziny dłuższe, chwile zdają się niekiedy wiecznością.

—ooooo—

Znaczenie przeszłej szarady:
Raprysy.